

Autorka bestsellerowej
KIRKE

MADELINE
MILLER
PIEŚŃ
O
ACHILLESIE

DZIEJE MIŁOŚCI SILNIEJSZEJ
NIŻ ŚMIERĆ

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE SONG OF ACHILLES

Copyright © Madeline Miller 2012
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Urszula Szczepańska 2014

Korekta: Sabina Raczyńska, Jolanta Rososińska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Bloomsbury Publishing

Projekt graficzny okładki polskiej: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mój ojciec był królem i synem królów. Był niski, jak większość z nas, i barczysty jak wół. Poślubił moją matkę, kiedy miała czternaście lat i wedle zapewnienia kapłanki była dojrzała. Chodziło o dobrą partię: panna była jedynaczką i fortuna jej ojca miała przypaść jej mężowi.

Dopiero po ślubie dowiedział się, że żona jest ograniczona. Jej ojciec dobrze pilnował, aby do samej ceremonii miała zakrytą twarz, a mój ojciec mu uległ. Zawsze były niewolnice i chłopcy służebni, gdyby okazała się brzydka. Mówią, że kiedy unieśli w końcu welon, moja matka się uśmiechnęła. I wyszło na jaw, że jest głupia. Bo panny młode się nie uśmiechają.

Kiedy przyszedłem na świat, ojciec wyrwał mnie z jej ramion i powierzył piastunce. Położna z litości dała matce poduszkę, żeby miała co trzymać zamiast mnie. Matka ją przytuliła, jakby nie zauważyła podmiany.

Mały i cherlawy, szybko stałem się powodem rozczarowania. Nie byłem zwinny. Nie byłem silny. Nie umiałem śpiewać. Najlepszym, co dało się o mnie powiedzieć, było to, że nie jestem chorowity. Przeziębienia i napady drgawek, zwyczajne dolegliwości u moich

rówieśników, mnie się nie imają. To tylko budziło podejrzenia w ojcu. Może byłem odmieńcem, podrzutkiem z innego świata? Trzęsły mi się ręce, kiedy czułem na sobie jego gniewny wzrok. Mojej matce ulewało się z ust wino.

*

Mam pięć lat, kiedy przychodzi kolej na ojca, by urządził igrzyska. Zjeżdżają mężowie z tak dalekich stron jak Tesalia i Sparta i nasze skarbcze wzbogacają się o ich złoto. Setka sług przez dwadzieścia dni ubija bieżnię i usuwa kamienie. Ojciec chce mieć najwspanialsze igrzyska swego pokolenia.

Najlepiej pamiętam biegaczy, orzechowobrazowe ciała namaszczone oliwą, rozciągające się na bieżni w pełnym słońcu. Dojrzali barczyści mężowie mieszają się z gołobrodymi młodzianami i chłopcami, wszyscy mają mocne, rzeźbione łydki.

Zabito w ofierze byka, spuszczając z niego krew w ziemię i do ciemnych czar z brązu. Szedł spokojnie na śmierć, co dobrze wróżyło igrzyskom.

Biegacze zebrali się przed podium, gdzie ojciec i ja siedzimy pośród nagród, które wręczymy zwycięzcom. Są złote kratery do mieszania wina z wodą, trójnogi z kutego brązu i jesionowe włócznie zakończone szlachetnymi żeleźcami, ale prawdziwe trofeum spoczywa w moich rękach: wieniec ze świeżo ściętego wawrzynu o szarozielonych liściach wypolerowanych na błysk moim kciukiem. Ojciec powierzył mi go bez przekonania. Uspokajał siebie samego, mówiąc, że mam go tylko trzymać, nic więcej.

Pierwsi pobiegną najmłodsi chłopcy. Przeszczępują z nogi na nogę, czekając na znak kapłana. Są w wieku, kiedy się szybko rośnie, i spod napiętej skóry wystają im szpiczaste, patykowate kości. Mój wzrok pada na jasną głowę wśród dziesiątków ciemnych zmierzwionych czupryn. Pochylam się zaciekawiony. W słońcu włosy tego chłopca

lśnią jak miód i połyskuje w nich złoto – książęcy diadem.

Jest niższy od współzawodników i w przeciwieństwie do nich, jeszcze w dziecięcy sposób pulchny. Jego włosy są długie, związane z tyłu rzemieniem, i aż skrzą się na mocno śniadych plecach. Twarz, kiedy się odwraca, jest poważna jak u dorosłego mężczyzny.

Gdy tylko kapłan uderza w ziemię, jasnowłosy chłopiec wyprzedza starszych od siebie i potężniej zbudowanych konkurentów. Biegnie lekko, jego pięty mienia się różowo jak liżące języki. Wygrywa.

Patrzę, jak ojciec zabiera mi wieniec z kolan i koronuje zwycięzcę; liście laurowe na płowych włosach chłopca zdają się prawie czarne. Jego ojciec, Peleus, podchodzi uśmiechnięty i dumny. Królestwo Peleusa jest mniejsze od naszego, lecz wieść niesie, że jego żona jest boginką i że kochają go poddani. Mój ojciec przygląda się z zazdrością. Jego żona jest głupia, a syn zbyt powolny, żeby pobiec choćby w grupie najmłodszych. Odwraca się do mnie.

– Oto jaki powinien być syn.

Bez wienca czuję pustkę w rękach. Patrzę, jak król Peleus obejmuje syna. Widzę, jak chłopiec ze śmiechem wyrzuca wieniec w górę i z powrotem go łapie. Twarz mu jaśniej z zwycięstwem.

*

Oprócz tej sceny pamiętam tylko strzępy obrazów z mojego ówczesnego życia: ojciec z zachmurzoną miną na tronie, mój ukochany drewniany konik, matka na plaży z oczami zwróconymi na Morze Egejskie. W tym ostatnim wspomnieniu zbieram płaskie kamienie i puszczam dla niej kaczki, pac, pac, pac, pac... Wydaje się, że lubi patrzeć, jak zmarszczki na wodzie rozchodzą się i wygładzają. Albo lubi samo morze. Na jej skroni bieli się gwiazdziste znamię, blizna po tym, jak jej ojciec uderzył ją ręką i mieczem. Z piasku, tam gdzie zagrzebała stopy, wystają same palce, a ja,

szukając kamieni, staram się ich nie trącać. Wybieram kamyk i ciskam w wodę, zadowolony, że jestem w tym dobry. To jedyne wspomnienie, jakie mam o matce, tak świetliste, że chyba musiałem to zmyślić. Przecież niepodobieństwem było, żeby ojciec wypuścił nas samych razem, głupiego syna z jeszcze głupszą żoną. Zresztą gdzie my jesteśmy? Nie rozpoznaję tej plaży, tego kawałka brzegu. Tyle się od tamtej pory wydarzyło.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zostałem wezwany przed króla. Pamiętam, jak tego nie znosiłem: najpierw marsz przez ogromną salę tronową, potem klęczenie na kamiennej posadzce. Niektórzy królowie zdobywali się na dywany pod kolana posłańców, którzy mieli do przekazania długie wiadomości. Ale nie mój ojciec.

– Córka króla Tyndareosa jest wreszcie gotowa do małżeństwa – powiedział.

Znałem to imię. Tyndareos był królem Sparty i posiadał wielkie obszary najżyźniejszych ziem na południu, których mój ojciec pożył. Słyszałem też pogłoski o jego córce sławionej za wyjątkową urodę. Mówiono, że jej matka, Leda, została zniewolona przez samego Zeusa, króla wszystkich bogów, w przebraniu łabędzia. Dziewięć miesięcy później jej łono wydało dwie pary bliźniąt: Klitajmestrę i Kastora, dzieci jej męża śmiertelnika, oraz Helenę i Polideukesa, uroczę łabędziątka boga. Lecz bogowie uchodzili za marnych rodziców; oczekiwano, by Tyndareos uznał całą czwórkę.

Nie zareagowałem na ojcowskie słowa. Takie rzeczy nic dla mnie nie znaczyły.

Ojciec odchrząknął, bardzo donośnie w głuchej ciszy sali tronowej.

– Przydałoby się mieć ją w naszej rodzinie. Pojedziesz i wystąpisz jako konkurent.

W sali nie było nikogo innego, więc tylko on mógł słyszeć moje prychnięcie. Ale darowałem sobie wszelkie słowa protestu. Ojciec dobrze wiedział, co mógłbym powiedzieć: że mam dziewięć lat, jestem brzydki, mało obiecujący, niezainteresowany.

Wyruszyliśmy następnego rana, objuczeni darami i podróżnym prowiantem. Eskortowała nas straż w najlepszych zbrojach. Z samej podróży niewiele pamiętam – wiodła przez łąd, mijane okolice nie zostawiały żadnych wrażeń. Na czele kawalkady ojciec wydawał nowe rozkazy emisariuszom i sekretarzom, którzy rozjeżdżali się we wszystkie strony. Patrzyłem ze spuszczoną głową na skórzane wodze, gładziłem kciukiem ich mechatą końcówkę. Nie wiedziałem, co tam robię. To było niezrozumiałe, jak wiele innych rzeczy, które robił ojciec. Osioł kołysał się na boki, a ja wraz z nim, zadowolony, że mam choć taką rozrywkę.

Nie byliśmy pierwszymi konkurentami, którzy zjechali do twierdzy Tyndareosa. W stajniach pełnych koni i osłów krzątała się rzesza sług. Ojciec wyglądał na niezbyt zadowolonego z przyjęcia, jakie nam zgotowano; widziałem, jak ze zmarszczonym czołem pociera kamień paleniska w naszej komnacie. Przywiozłem z domu zabawkę, konika z ruchomymi nogami. Podnosiłem jedną, potem drugą, wyobrażając sobie, że przyjechałem na nim, a nie na oślim grzbiecie. Zlitował się nade mną jakiś strażnik i pożyczył mi kości. Rzuciłem je na podłogę, aż wyszły same szóstki w jednym rzucie.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym ojciec kazał mi się wykapać i uczesać. Musiałem zmienić tunikę, potem zmienić na jeszcze inną. Przebierałem się posłusznie, chociaż nie widziałem różnicy między purpurą ze złotą nicią a szkarłatem ze złotą nicią. Ani jedna, ani druga tunika nie zakrywała moich guzowatych kolan. Ojciec wyglądał mocarnie i srogo z czarną brodą. Dar dla Tyndareosa stał

przygotowany: krater z bitego złota z reliefem przedstawiającym historię księżniczki Danae. Zeus przyszedł do niej pod postacią złotego deszczu i spłodził Perseusza, pogromcę gorgony Meduzy, drugiego spośród naszych herosów, ustępującego sławą tylko Heraklesowi.

– Nie przynieś nam wstydu – powiedział ojciec, wręczając mi złoty dar.

Usłyszałem komnatę gościnną, nim ją zobaczyłem. Od wielkich kamiennych ścian odbijały się setki głosów, brzęk kielichów i zbroi. Słudzy pootwierali na oścież okna, by dać ujście zgiełkowi, i na wszystkich ścianach rozwiesili gobeliny – czysty przepych. Nigdy wcześniej nie widziałem tylu ludzi we wnętrzu. Nie ludzi, poprawiłem się. Królów.

Wezwano nas na zgromadzenie, usadowiono na ławach wysłanych skórami wołów. Słudzy wycofali się w cień. Ojciec wpił mi palce w ramię, ku przestrodze, żebym się nie wiercił.

W tym spędzie książąt, herosów i królów rywalizujących o jedno jedyne trofeum panowała gwałtowność, ale umieliśmy małpować cywilizację. Ci młodzi mężczyźni przedstawiali się jeden po drugim, dumni ze swych lśniących czupryn, smukłych talii i kosztownych strojów z barwionych tkanin. Wielu było synami bądź wnukami bogów. Wszyscy dorobili się jednej, dwóch albo i więcej pieśni sławiących ich czyny. Tyndareos witał każdego z osobna i przyjmował od nich dary, które rosły w stos na środku komnaty. Każdemu oddawał głos, by przedłożył swoją kandydaturę.

Mój ojciec był z nich najstarszy, nie licząc męża, który, gdy przyszła jego kolej, powiedział, że zwie się Filoktet.

– Kompan Heraklesa – szepnął ktoś siedzący obok nas.

Dobrze rozumiałem podziw w jego głosie. Herakles był naszym największym herosem, a Filoktet najbliższym z jego towarzyszy, jedynym nadal żyjącym. Miał siwe włosy i mocne, żylaste palce,

które zdradzały łuczника – same ścięгна obleczone skórą. I rzeczywiście, chwilę później uniósł największy łuk, jaki widziałem w swoim życiu, z polerowanego cisowego drewna, z majdanem opatrzonym w lwią skórę.

– Łuk Heraklesa – wyjaśnił. – Powierzony mi przez niego na łożu śmierci.

W naszych posiadłościach łuk budził kpiny jako broń tchórz. Nikt by jednak nie powiedział czegoś podobnego o tym łuku; siła potrzebna, by go naciągnąć, zmuszała do pokory nas wszystkich.

Kolejny zalotnik, który wstał, żeby się przedstawić, miał oczy pomalowane jak kobieta.

– Idomeneus, król Krety. – Był smukły, z włosami długimi do pasa. Złożył w darze osobliwy żelazny topór o podwójnym obuchu. – To symbol mojego ludu.

Ruchy Kreteńczyka skojarzyły mi się z tancerkami, które tak lubiła moja matka.

A potem Menelaos, syn Atreusa, siedzący obok swego zwalistego jak niedźwiedź brata Agamemnona. Menelaos miał ogniście rude włosy, był silnej postury, muskularny, pełen życia. Ofiarował sztukę kosztownej, pięknie barwionej tkaniny.

– Chociaż ta dama nie potrzebuje żadnej ozdoby – dodał z uśmiechem.

To była bardzo zgrabna mowa. Żałowałem, że nie mam do powiedzenia czegoś równie błyskotliwego. Byłem jedynym zalotnikiem, który nie skończył dwudziestu lat, i nie miałem wśród przodków żadnego boga. Być może jasnowłosy syn Peleusa dałby sobie radę, pomyślałem. Ale jego ojciec trzymał go w domu.

Mężowie przedstawiali się jeden po drugim, aż ich imiona zaczęły mieszać mi się w głowie. Moja uwaga powędrowała ku podium, gdzie zauważyłem, po raz pierwszy, trzy zawołowane kobiety siedzące u boku Tyndareosa. Wpatrywałem się w białe woale na ich twarzach,

jakbym miał nadzieję pochwycić jakieś rysy kobiet, które się za nimi skrywały. Ojciec chciał jedną z nich na moją żonę. Wszystkie trzymały na kolanach ręce, pięknie ozdobione bransoletami. Jedna była wyższa od pozostałych. Wydało mi się, że widzę pojedynczy ciemny lok wystający spod rąbka jej woalu. Helena miała jasne włosy, więc to nie ona. W rozkojarzeniu przestałem słuchać królów i na dźwięk imienia mojego ojca przestraszyłem się. Tyndareos patrzył na nas.

– Witaj, Menojtiosie. Przykro mi z powodu śmierci twojej żony.

– Moja żona żyje, Tyndareosie. To mój syn przybywa dziś prosić o rękę twej córki.

Zapanowała cisza, podczas której ukląłem, oszołomiony skierowanymi na mnie spojrzeniami.

– Twój syn nie jest jeszcze mężczyzną. – Głos Tyndareosa wydawał się bardzo odległy; niczego w nim nie wyczułem.

– Nie szkodzi. Ja jestem mężczyzną za nas dwóch. – To był rodzaj żartu, jaki Grecy uwielbiali, dosadny i chępliwy. Nikt się jednak nie roześmiał.

– Rozumiem – odparł Tyndareos.

Kamienna posadzka wrzynała mi się w kolana, ale ani drgnąłem. Byłem przyzwyczajony do klęczenia. Po raz pierwszy doceniałem sprawę zdobytą w sali tronowej ojca.

Pośród ciszy ojciec znowu przemówił:

– Inni przynieśli brąz i wino, oliwę i wełnę. Ja przynoszę złoto, i jest to ledwie cząstka moich zasobów.

Byłem świadomy, że dotykam postaci z reliefu na pięknym kraterze: Zeusa wyłaniającego się z deszczu złotych promieni, wystraszonej księżniczki, tej pary złączonej w akcie cielesnym.

– Moja córka i ja jesteśmy wdzięczni za dar tak cenny, choć dla ciebie błahy.

Szmer w tłumie królów. To była zniewaga, której ojciec chyba nie rozumiał. Zapłoniłem się.

– Uczyniłbym Helenę królową mego dworu. Moja żona, jak ci wiadomo, nie jest zdolna rządzić. Prześcigam zamożnością wszystkich tych młodzieńców, a moje czyny mówią same za siebie.

– Myślałem, że pretendentem jest twój syn.

Uniosłem wzrok na dźwięk nowego głosu, kogoś, kto jeszcze nie przemawiał. Był ostatni w kolejce, siedział sobie spokojnie na ławie, jego kręcone włosy połyskiwały w świetle paleniska. Na jednej nodze miał nieregularną szarpaną bliznę, szew spinający ciemnobrązową skórę od pięty do kolana, owijający mięśnie łydki i niknący w cieniu pod tuniką. To wyglądało na ślad po nożu czy coś w tym rodzaju, cięcie od dołu ku górze z pierzastymi krawędziami, których delikatność maskowała brutalne okoliczności, w jakich musiało się to zdarzyć.

Ojciec wpadł w złość.

– Synu Laertesa, nie pamiętam, żeby udzielono ci głosu.

– Nie udzielono – odparł tamten z uśmiechem. – Wtrąciłem się. Ale nie musisz się mnie obawiać. Nie jestem w tej sprawie osobiście zainteresowany. Mówię wyłącznie jako obserwator.

Lekkie ożywienie na podium przyciągnęło mój wzrok. Jedna z zawołanych kobiet wyraźnie się poruszyła.

– Co on ma na myśli? – Ojciec był naburmuszony. – Skoro nie przyjechał tu po rękę Heleny, to po co? Niech wraca do swoich skał i kóz.

Mężczyzna uniósł brwi, ale się nie odezwał.

Tyndareos również zachował łaskawość.

– Jeśli, jak mówisz, twój syn ma być pretendentem, pozwól, aby się przedstawił.

Nawet ja wiedziałem, że przyszła kolej na mnie.

– Jestem Patroklos, syn Menojtiosa. – Mój głos z braku wprawy

brzmiał piskliwie i chropowato. – Przybyłem jako pretendent do ręki Heleny. Mój ojciec jest królem i synem królów.

Nie miałem nic więcej do powiedzenia. Ojciec mnie nie przygotował; nie sądził, że Tyndareos każe mi zabrać głos. Wstałem, zaniósłem krater na stos z darami i postawiłem ostrożnie, tak żeby się nie przewrócił. Potem wróciłem na swoje miejsce. Nie ośmieszyłem się zbyt, bo nie byłem rozdygotany, nie potknąłem się ani nie powiedziałem nic głupiego. A jednak paliłem się ze wstydu. Wiedziałem, jak muszę wyglądać w oczach tych dorosłych mężczyzn.

Tymczasem parada zalotników się nie kończyła. Klęczący teraz mężczyzna był olbrzymem o połowę wyższym od mojego ojca i jeszcze bardziej zwałistym. Za nim dwaj słudzy podtrzymywali ogromną tarczę, która wydawała się częścią jego zbroi. Sięgała mu od stóp do ukoronowanej głowy; żaden zwykły człowiek nie mógłby jej nosić. I to nie była ozdoba: poharatane, wyszczerbione brzegi świadczyły o bojach, w których brała udział. Ajas, syn Telamona, przedstawił się gigant. Mowę miał prostą i krótką, wywodził swój rodowód od Zeusa i twierdził, że jego mocarna postura jest dowodem trwałej przychylności prapradziada. W darze złożył włócznię z giętkiego, kunsztownie rzeźbionego drewna. Kute żelazne ostrze błyszczało w świetle pochodni.

W końcu przyszła kolej na człowieka z blizną.

– I cóż, synu Laertes? – Tyndareos poprawił się na tronie, zwracając twarz do rozmówcy. – Co powie na to wszystko niezainteresowany obserwator?

Zapytany odchylił się w tył.

– Ciekaw jestem, co zrobisz, aby przegrani konkurenci nie wypowiedzieli ci wojny? Tobie albo szczęściarzowi, który poślubi Helenę. Widzę tu pół tuzina mężczyzn gotowych skoczyć sobie do gardeł.

– I to cię bawi.

Wzruszył ramionami.

– Bawi mnie ludzka głupota.

– Syn Laertesa szydzi z nas! – wykrzyknął olbrzym Ajas, z zacisniętymi pięściami wielkości mojej głowy.

– W żadnym wypadku, synu Telamona.

– A więc, Odyseuszu? Może powiesz wreszcie, co myślisz. – Głos Tyndareosa po raz pierwszy zabrzmiał tak ostro.

Odyseusz znów wzruszył ramionami.

– To od początku było ryzykowne przedsięwzięcie, mimo fortuny i rozgłosu, jakie zdobyłeś. Każdy z tych mężów zna swą wartość. Nie dadzą się tak łatwo zbyć.

– To wszystko powiedziałeś mi w cztery oczy.

Widziałem, jak mój ojciec sztywnieje. Konspiracja. Nie on jeden miał gniew na twarzy.

– Istotnie. Ale teraz proponuję ci rozwiązanie. – Odyseusz uniósł obie ręce, puste. – Nie przywozłem ci daru i nie zabiegam o Helenę. Jestem królem, jak tu powiedziano, skał i kóz. W zamian za moje rozwiązanie oczekuję nagrody, o której już mówiliśmy.

– Daj mi to rozwiązanie i będziesz ją miał.

Znowu lekkie poruszenie na podium. Jedna z kobiet musnęła dłonią szatę swej towarzyszki.

– W takim razie proszę, oto moja rada. Myślę, że powinniśmy pozostawić wybór Helenie. – Odyseusz urwał, pozwalając, by po sali przeszedł szmer niedowierzania; kobiety nie miały głosu w takich sprawach. – Wtedy nikt nie będzie mógł winić ciebie. Ale Helena musi wybrać teraz, bez zwłoki, bo inaczej będą mówili, że zrobiła to za twoim podszeptem albo z przymusu. I jeszcze jedno. – Podniósł palec. – Zanim wybierze, wszyscy pretendenci muszą złożyć przysięgę, że uznają wybór Heleny i staną w obronie jej męża przeciw każdemu, kto by śmiał mu ją odebrać.

Wyczuwałem ich wzburzenie. Przysięgę? I to w tak niebywalej sprawie. Żeby kobieta miała wybierać sobie męża? Królowie byli nieufni.

– Znakomicie. – Tyndareos, z nieprzeniknioną twarzą, zwrócił się do jednej z kobiet w woalach:

– Heleno, czy przyjmujesz tę propozycję?

– Tak, przyjmuję.

Jej niski i czarujący głos dotarł do najdalszego zakątka komnaty. Wypowiedziała tylko dwa słowa, a ja poczułem, jak dreszcz przebiega przez cały męski tłum wokół mnie. Nawet ja, dziecko, czułem to i byłem zdumiony mocą tej kobiety, która mimo zasłoniętej twarzy potrafiła przykuć uwagę całej sali. Mówiono o niej, nagle sobie przypomnieliśmy, że miała złocistą skórę i ciemne oczy błyszczące jak obsydian, na który wymienialiśmy oliwę. W tamtym momencie Helena warta była więcej niż wszystkie dary zalotników razem wzięte. Warta była naszego życia.

Tyndareos skinął głową.

– A zatem niech tak będzie. Niech wszyscy gotowi złożyć przysięgę uczynią to teraz.

Słyszałem pomruki, na wpół gniewne głosy. Ale nikt nie wyszedł. Głos Heleny i woal, lekko falujący pod jej oddechem, trzymały nas wszystkich w skupionym napięciu.

Wezwany co prędzej kapłan powiódł do ołtarza białą kozę. Tu, w środku, był to praktyczniejszy wybór niż ofiara z byka, który krwią z podciętego gardła mógłby nazbyt powalać kamienną podłogę. Zwierzę skonało szybko i męczyzna wymieszał jego ciemną krew z cyprysowym popiołem z paleniska. Naczynie zasyczało głośno w ciszy sali.

– Ty będziesz pierwszy. – Tyndareos wskazał Odyseusza.

Nawet dziewięcioletnie dziecko mogło docenić trafność tego posunięcia. Odyseusz już się popisał nadmiarem sprytu. Nasze

wątle sojusze utrzymywały się tylko wówczas, gdy nikomu nie pozwalano górować zbyttnio nad resztą. Zerkając dokoła, widziałem na twarzach królów uśmieszki satysfakcji; mądrała z Itaki wpadł we własne sidła.

Odyseusz skrzywił w półuśmiechu usta.

– Oczywiście, z przyjemnością.

Na moje oko robił dobrą minę do złej gry. Podczas obrzędu ofiarnego wyraźnie usuwał się w cień, jakby liczył, że o nim zapomną. Teraz wstał i ruszył do ołtarza.

– Otóż, Heleno... – Zawiesił głos, z na wpół wyciągniętym ramieniem w stronę kapłana. – Pamiętaj, że przysięgam tylko w geście braterstwa, nie jako zalotnik. Gdybyś wybrała mnie, nigdy byś sobie tego nie wybaczyła.

Jego żart wywołał pojedyncze śmiechy wśród królów. Wszyscy wiedzieli, że to nieprawdopodobne, by taka perła jak Helena wybrała króla jałowej Itaki.

Kapłan przywoływał nas kolejno do ognia i znaczył nam nadgarstki krwią i popiołem, wiążącymi niczym łańcuchy. Z uniesioną ręką, by każdy widział, powtarzałem słowa przysięgi.

Kiedy ostatni z mężów wrócił na swoje miejsce, Tyndareos powstał z tronu.

– Wybierz teraz, moja córko.

– Menelaos – powiedziała bez wahania ku zdumieniu nas wszystkich, spodziewających się rozterek i niepewności.

Odwróciłem się do rudowłosego mężczyzny, który podniósł się z twarzą rozciągniętą w uśmiechu. W niepohamowanej radości klepnął w plecy swego milczącego brata. Pozostałych ogarnął gniew, rozzarowanie, nawet rozpacz. Ale nikt nie sięgnął po miecz; krew na naszych nadgarstkach stężała i skrzepla.

– Zatem niech tak będzie. – Tyndareos też powstał. – Rad jestem przyjąć do swej rodziny drugiego syna Atreusa. Dostaniesz

moją Helenę, jak twój zacny brat dostał moją Klitajmestrę. – Skinął w stronę najwyższej kobiety na znak, że może wstać, ale się nie poruszyła. Mogła go nie usłyszeć.

– A trzecia panna?! – wykrzyknął niski mężczyzna usadowiony obok giganta Ajasa. – Twoja bratanica. Może być dla mnie?

Sala wybuchnęła śmiechem i napięcie trochę zelżało.

– Spóźniłeś się, Teukrosie. – Głos Odyseusza przebił się przez gwar. – Ta mnie jest obiecana.

Nie dane mi było usłyszeć więcej. Ojciec chwycił mnie za ramię i w złości ściągnął z ławy.

– Nic tu po nas.

Jeszcze tamtego wieczoru ruszyliśmy w drogę powrotną i dosiadałem osła, czyniąc wielkie rozczarowanie: nie pozwolono mi nawet zerknąć na sławetne oblicze Heleny.

Ojciec nigdy więcej nie wspomniał o naszej wyprawie, a mnie, gdy wróciłem do domu, szczegóły tej wizyty dziwnie przeinaczyły się w pamięci. Krew i ślubowanie, sala pełna królów – wszystko zdawało się odległe i rozmyte, jak z zasłyszanej opowieści aoidy, a nie jak coś, co sam przeżyłem. Czy naprawdę klęczałem tam przed nimi? I jak było z tą przysięgą? Sama myśl o tym wydawała się absurdalna, głupia i nieprawdopodobna niczym sen z poprzedniej nocy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Stałem na polu z dwoma kompletami kości. Dostałem je w prezencie. Na pewno nie od ojca, który nigdy by na to nie wpadł. I nie od matki, która czasem mnie nie poznawała. Nie pamiętałem, kto mi je dał. Jakiś król, który przybył z wizytą? Zabiegający o względy arystokrata?

Były z kości słoniowej, wysadzone onyksami, gładkie w dotyku. W aurze późnego lata dyszałem po codziennym biegu z pałacu. Począwszy od dnia igrzysk, miałem przydzielonego mistrza, który ćwiczył mnie we wszystkich naszych sztukach atletycznych: walce na pięści, mieczem i włócznią, w rzucie dyskiem. Ale uciekłem mu i teraz upajałem się szczęściem samotności. Po raz pierwszy od wielu tygodni byłem sam ze sobą.

Wtedy pojawił się tamten chłopak. Nazywał się Klysonimus i był synem arystokraty, który często bywał w pałacu. Starszy, wyższy i otyły. Błysk kości w mojej dłoni przyciągnął jego wzrok. Łypnął na mnie i wyciągnął rękę.

– Pokaż.

– Nie. – Nie chciałem, żeby ich dotykał swoimi grubymi i brudnymi paluchami. Poza tym byłem księciem, choć małym. Czy

nie miałem nawet takiego prawa? Ale synowie wysoko urodzonych przyzwyczaili się robić ze mną, co tylko chcieli. Wiedzieli, że mój ojciec nie będzie interweniował.

– Daj mi je.

Nawet nie zadał sobie trudu, żeby mnie postraszyć. Nienawidziłem go za to. Powinienem być chociaż wart postraszenia.

– Nie.

Przysunął się o krok.

– Daj.

– Są moje. – Wyszczrzyłem zęby. Warknąłem jak psy, które walczą o resztki z naszych stołów.

Sięgnął po kości i wtedy go odepchnąłem, tak że się potknął. Byłem zadowolony. Ani myślałem oddać mu to, co moje.

– Ej!

Wściekł się. Byłem taki mały; mówili, że jestem ograniczony, więc gdyby się teraz wycofał, to byłby dyshonor. Natarł na mnie z poczerwieniałą twarzą. Mimowolnie zrobiłem krok w tył i wtedy uśmiechnął się z wyższością.

– Tchórz.

– Nie jestem tchórzem. – Podniosłem głos i coś we mnie zawrzało.

– Twój ojciec uważa, że jesteś – powiedział wolno i rozmyślnie, jakby się delektował każdym słowem. – Słyszałem, jak mówił to mojemu ojcu.

– Nieprawda. – Ale wiedziałem, że tak było.

Chłopak przysunął się bliżej. Uniósł pięść.

– Nazywasz mnie kłamcą?

Czułem, że zaraz mnie uderzy. Czekał tylko na pretekst. Bez trudu wyobraziłem sobie, w jaki sposób mój ojciec mógł to powiedzieć. Tchórz. Przyłożyłem ręce do jego piersi i pchnąłem z całej siły. Nasza ziemia to same łąki i zboże, więc upadek nie

powinien być groźny.

Szukam usprawiedliwienia. Nasza ziemia była też pełna kamieni.

Z głuchym impetem uderzył głową o kamień. Zobaczyłem wybaluszone ze zdziwienia oczy i potem ziemia wokół niego zaczęła się barwić krwią.

Patrzyłem nieruchomo ze ściśniętym gardłem, przerażony tym, co zrobiłem. Nigdy dotąd nie widziałem umierającego człowieka. Byki, owszem, i kozy, nawet bezkrwawą agonię ryb. Widziałem śmierć na malowidłach, tapiseriach, czarne sylwetki wypalone na naszych półmiskach. Ale nie widziałem czegoś takiego: rzęzenia, bezdechu i szamotaniny. Woni krwi. Uciekłem.

Jakiś czas potem znaleźli mnie przy sękatych korzeniach drzewa oliwnego, pośród własnych wymiocin, bladego i roztrzęsionego. Kości zgubiłem podczas ucieczki. Ojciec zgromił mnie spojrzeniem, odsłaniając we wściekłym grymasie żółte zęby. Na jego skinienie słudzy zanieśli mnie do pałacu.

Rodzina chłopca zażądała natychmiastowego wygnania mnie lub śmierci. Byli potężni, a on był ich najstarszym synem. Może darowaliby królowi, gdyby spalił im pola czy zgwałcił córki, byle strata została wynagrodzona. Lecz synowie byli nietykalni; za męskiego potomka wszczynano bunt. Wszyscy znaliśmy zasady i przestrzegaliśmy ich z obawy przed anarchią, która niezmiennie czała się tuż-tuż. Krwawa waśń rodowa. Słudzy odżegnywali złe moce.

Mój ojciec całe życie walczył o zachowanie tronu i nie postawiłby go na szali dla takiego syna jak ja, zwłaszcza że o następców i łona, które ich wydawały, było tak łatwo. Dlatego się zgodził: miałem jechać na wygnanie do innego królestwa, gdzie w zamian za moją wagę w złocie zgodzili się mnie wychowywać do wieku dorosłego. Traciłem rodziców, nazwisko rodowe, prawo dziedziczenia. W naszych czasach w takiej sytuacji lepiej było

umrzeć. Niestety, ojciec należał do ludzi praktycznych. Moja waga w złocie była niższa od kosztu wystawnego pochówku, jakiego wymagałaby moja śmierć.

Oto jak doszło do tego, że zostałem dziesięcioletnim sierotą. Oto jak znalazłem się we Ftyi.

*

Maleńka Ftyja, najmniejszy z naszych krajów, leżała na północnym skrawku ziemi między grzbietami Otrys a morzem. Jej król, Peleus, należał do ludzi, których kochają bogowie – sam nie miał boskiej krwi, lecz był dzielny, bystry, przystojny i wśród równych sobie nadzwyczaj pobożny. W nagrodę nasze bóstwa ofiarowały mu na żonę nimfę morską. Uchodziło to za wyjątkowy zaszczyt, bo który śmiertelnik nie chciałby pojąć bogini i spłodzić z nią syna? Boska krew oczyszczała naszą plugawą rasę, wydawała bohaterów z samego piasku i gliny. A ta boginka niosła jeszcze większą obietnicę: Mojry przepowiedziały, że jej syn znacznie prześcignie ojca. Trwałość rodu Peleusa byłaby zapewniona. Ale, jak ze wszystkimi darami bogów, wiązał się z tym pewien szkopuł: sama bogini była niechętna.

Wszyscy, nawet ja, słyszeli historię o zniewoleniu Tetydy. Bogowie zaprowadzili Peleusa do jej sekretnego miejsca na plaży, gdzie lubiła przesiadywać. Ostrzegli go, by nie tracił czasu na wstępne zaloty – boginka nigdy się nie zgodzi poślubić śmiertelnika.

Upredzili go również, co może się zdarzyć, kiedy ją pochwyci. Nimfa Tetyda była przebiegła jak jej ojciec Proteusz, szczywany starzec morski, i umiała zmieniać swą postać w tysiące różnych form ciała, upierzenia i sierści. I choćby swymi dziobami, pazurami, żądlącymi mackami i zębiskami obdzierała go ze skóry, Peleusowi nie wolno było jej puścić.

Był mężem pobożnym i sumiennym, zrobił więc wszystko, jak

bogowie mu przykazali. Poczekał, aż Tetyda, z czarnymi włosami długości końskiego ogona, wyłoni się z ciemnopopielatych fal. Potem ją schwycił i trzymał mimo jej dzikiego oporu, aż oboje opadli z sił, bez tchu, podrapani piaskiem. Krew z ran, które zadała mu nimfa, mieszała się ze zmazą utraconego dziewictwa na jej udach. Opór nic już nie znaczył: defloracja wiązała tak samo jak śluby małżeńskie.

Bogowie wymogli na niej przysięgę, że zostanie ze swym śmiertelnym mężem co najmniej przez rok, a ona wypełniła swój czas na ziemi jak powinność losu, milcząca, obojętna i pochmurna. Teraz, kiedy Peleus kładł na niej ręce, nie próbowała się szarpać ani wymykać. Leżała sztywna, bez słowa, wilgotna i zimna jak ryba. Jej niechętnie łono wydało tylko jedno dziecko. Z chwilą gdy skończył się jej wyrok, wybiegła z pałacu i rzuciła się z powrotem do morza.

Wracała tylko po to, żeby zobaczyć chłopca, nigdy w innym celu i nigdy nie na długo. Przez resztę czasu dzieckiem zajmowali się nauczyciele i opiekunki pod wychowawczym nadzorem Feniksa, najbardziej zaufanego doradcy Peleusa. Czy Peleus pożałował chwili, w której przyjął dar bogów? Zwyczajna żona poczytywałaby sobie za szczęście znaleźć męża tak łagodnego i dobrego jak on. Ale nimfie morskiej Tetydzie nic nie mogło przesłonić skazy jego odrażającej śmiertelnej przeciętności.

*

Przez pałac prowadził mnie sługa, którego imienia nie dosłyszałem. Może się nie przedstawił. Komnaty były mniejsze niż u nas, jakby skrojone na miarę królestwa, którym z nich władano. Podłogi i ściany z miejscowego marmuru miały jaśniejszy odcień bieli. Moje stopy na tle bladego kamienia wydawały się bardzo ciemne.

Niczego przy sobie nie miałem. Skromny bagaż z rzeczami

osobistymi niesiono do mojego pokoju, a złoto od Menojtiosa było w drodze do skarbcza Peleusa. Ogarnął mnie dziwny strach, kiedy oddzielili mnie od złota. Było moim towarzyszem podczas tygodni podróży, przypominało o mojej wartości. Listę rzeczy znałem na pamięć: pięć kielichów z grawerowanymi nóżkami, ciężkie berło z kulą, naszyjnik z bitego złota, dwa ozdobne posążki ptaków i rzeźbiona lira złożona na szczytach ramion. Wiedziałem, że ten ostatni przedmiot jest oszustwem. Za dużo w nim było drewna, taniego i ciężkiego, zajmującego przestrzeń, którą powinno wypełniać złoto. Jednakże lira była tak piękna, że jej przyjęcia nikt by nie odmówił; należała do posagu mojej matki. W drodze sięgałem do juków, żeby pogłodzić polerowane drewno.

Domyślałem się, że prowadzą mnie do sali tronowej, gdzie padnę na kolana i wyrażę swą wdzięczność. Tymczasem sługa przystanął niespodziewanie przy bocznych drzwiach. Król Peleus był nieobecny, jak mi powiedział, więc miałem się przedstawić jego synowi. Czułem się zbity z tropu. Nie na to byłem przygotowany. Na próżno, jadąc na oślim grzbiecie, ćwiczylem słowa oddania się władcy i opiekunowi. Syn Peleusa. Wciąż pamiętałem ciemny wawrzyn na jego złotawych włosach, sposób, w jaki jego różowe pięty migały na bieżni. *Oto jaki powinien być syn.*

Leżał na szerokiej wyścielanej ławie, z lirą opartą na brzuchu, i leniwie brzdąkał. Nie słyszał, jak wchodziłem, albo nie chciał mu się spojrzeć. To wtedy zacząłem rozumieć swoje miejsce w nowym życiu. Do tego momentu byłem księciem, oczekiwanym i anonsowanym. Teraz byłem niegodny uwagi.

Zrobiłem jeszcze krok, szurając nogą, i w końcu przechylił głowę w moją stronę. Przez te pięć lat, odkąd go widziałem, wyrósł ze swej dziecięcej pulchności. Gapiłem się jak zakłęty w jego piękne, głęboko zielone oczy i twarz o subtelnych, prawie dziewczęcych rysach. Rozpaliło to we mnie gwałtowną niechęć. Ja nie zmieniłem

się tak bardzo ani tak korzystnie.

Ziewnął z przymkniętymi oczami.

– Jak ci na imię?

Jego królestwo równało się połowie, ćwierci, może ósmej części kraju, którym rządził mój ojciec, poza tym zabiłem kogoś, skazali mnie na wygnanie, a on mimo wszystko mnie nie znał. Zacisnąłem w milczeniu zęby.

Zapytał jeszcze raz, głośniej:

– Jak ci na imię?

Moje milczenie było wybaczone za pierwszym razem – mogłem go nie usłyszeć. Teraz już nie.

– Patroklos. – To imię dał mi przy urodzeniu mój ojciec, z nadzieją, lecz mało roztropnie, i dla mnie miało gorzki smak. Znaczyło „chluba ojca”. Spodziewałem się teraz drwiny, jakiegoś ciętego żartu z mojej hańby, ale syn Peleusa nie zareagował. Pomyślałem, że może jest na to za głupi.

Przekręcił się na bok, twarzą do mnie. Zdmuchnął kosmyk złotych loków, który spadł mu na oczy.

– Ja mam na imię Achilles.

Uniosłem lekko brodę, przyjmując to do wiadomości. Patrzyliśmy na siebie przez moment, potem on zamrugnął i ziewnął przeciągle jak kot.

– Witaj we Ftyi.

Wychowałem się na królewskim dworze i wiedziałem, kiedy trzeba się oddalić.

✱

Tamtego wieczoru odkryłem, że nie jestem jedynym dzieckiem przygarniętym przez Peleusa. Ten skromny król okazał się bogaty w odrażonych synów. Kiedyś sam był zbiegiem, jak mówiono, i służył z życzliwości wobec młodych wygnańców. Moje łóżko

było posłaniem w długim, barakopodobnym pokoju, pełnym próżnujących i tarmoszących się chłopców. Sługa pokazał mi miejsce na rzeczy. Kilku chłopców uniosło z ciekawości głowy. Jestem pewien, że jeden z nich zapytał, jak mam na imię. Jestem pewien, że odpowiedziałem. Wrócili do zabawy. Nikt ważny. Podeszedłem na sztywnych nogach do swojego posłania i czekałem na kolację.

Z zapadnięciem zmierzchu w głębi pałacowych czeluści zabił gong. Chłopcy rzucili wszystko i wypadli z pomieszczenia. W labiryncie krętych korytarzy i wyłaniających się po drodze komnat prawie potykałem się o nogi poprzednika, w strachu, że zostanę z tyłu i zgubię się.

Jadalnia była długą salą we frontowej części pałacu, z oknami wychodzącymi na podnóża góry Otrys. Była wystarczająco duża, by pomieścić nas wszystkich, i po wielokroć więcej; król Peleus lubił przyjmować i bawić. Siedzieliśmy na dębowych ławach, przy stołach porysowanych przez lata używania. Jedzenie było proste, ale obfite – solone ryby i grube kromki chleba z serem przyprawionym ziołami. Nie podano mięsa, koziego ani wołowiny, zarezerwowanych dla rodziny królewskiej lub na dni świąteczne. Po drugiej stronie sali mignęły mi w świetle lampy czyjeś jasne włosy. Achilles. Siedział w grupie chłopców, którzy zaśmiewali się do rozpuku z czegoś, co powiedział albo zrobił. *Oto jaki powinien być książę*. Opuściłem wzrok na swój chleb, jego grube, szorstkie pod palcami ziarna.

Po kolacji mogliśmy robić, co chcemy. Kilku chłopców zbierało się w kącie do jakiejś gry.

– Grasz z nami? – spytał jeden o dziecięcych lokach. Był ode mnie młodszy.

– W co?

– W kości. – Otworzył dłoń, żeby je pokazać: rzeźbione z

kości sześciiany z czarnymi oczkami.

Wzdrygnąłem się i zrobiłem krok w tył.

– Nie – odpowiedziałem zbyt głośno.

Chłopak zamrugał zdziwiony.

– W porządku. – Wzruszył ramionami i odszedł.

Tamtej nocy śnił mi się martwy chłopiec z czaszką rozbitą jak skorupka jaja. Gonił mnie. Krew broczyła, ciemna jak rozlane wino. Otworzył oczy i poruszył ustami. Zatkąłem uszy. Podobno głosy zmarłych potrafią przywieść żywych do szaleństwa. Nie mogę słyszeć, co mówi.

Obudziłem się przerażony, mając nadzieję, że nie krzychałem na głos. Punkciki gwiazd za oknem były jedynym światłem w ciemności. Nie widziałem, żeby świecił księżyc. W ciszy słyszałem swój ciężki oddech, a pode mną trzeszczał materac z trzciny, której cienkie źdźbła ocierały się o plecy. Obecność innych chłopców nie dodawała otuchy; nasi zmarli przychodzą po zemstę, nie bacząc na świadków.

Na niebie gwiazdy nabrały blasku i skądś wyłonił się księżyc. Kiedy zamknąłem z powrotem oczy, on wciąż na mnie czekał, cały we krwi, z twarzą białą jak kreda. Nic dziwnego. Nikt nie chce skończyć przed czasem w bezkresnym mroku naszych zaświatów. Moje wygnanie mogło ostudzić gniew żywych, ale nie ukoilo zmarłego.

Obudziłem się na wpół przytomny, z ciężkimi i odrętwiałymi kończynami. Wszyscy wokół mnie wstawali, szykowali się do śniadania, ochoczo nastawieni do nowego dnia. Szybko rozeszła się wieść, że jestem dziwakiem, i tamten młodszy chłopiec więcej się do mnie nie zbliżał, ani z kośćmi, ani z niczym innym. Podczas śniadania moje palce wpychały chleb do ust i gardło przełykało. Ktoś nalał mi mleka. Wypiłem.

Potem zaprowadzili nas na plac treningowy, gdzie w mglistym

słońcu poranka ćwiczyliśmy z włócznią i mieczem. To tam zaświtała mi prawda o dobroci Peleusa: dobrze wyszkoleni i obarczeni długiem wdzięczności, mieliśmy stworzyć mu znakomitą armię.

Dostałem włócznię i męska zgrubiała ręka poprawiła mi uchwyt, raz i drugi. Rzuciłem i grot ledwie drasnął pień dębu, który służył za cel. Nauczyciel westchnął i podał mi drugą włócznię. Przebiegłem wzrokiem po moich towarzyszach, szukając syna Peleusa. Nie było go tam. Wycelowałem jeszcze raz w drzewo, rosły dąb z podziurawioną i strzaskaną korą, ociekający sokiem z nakłuć. Rzuciłem.

Słońce weszło wysoko, potem jeszcze wyżej. Miałem wyschnięte gardło, rozpalone i szczypiące od kurzu i spiekoty. Kiedy instruktorzy dali nam wolne, większość chłopaków pognęła na plażę, gdzie czuć było jeszcze lekką bryzę. Tam grali w kości, biegali, przekrzykiwali się dowcipami w swoich wyrazistych, charakterystycznych dialektach północy.

Oczy miałem jak z ołowiu i bolało mnie ramię od porannych ćwiczeń. Usiadłem w skąym cieniu drzewa oliwnego, żeby popatrzeć na falujące morze. Nikt się do mnie nie odzywał. Łatwo było mnie ignorować. I nie za bardzo różniło się to od sytuacji w domu, słowo dając.

✧

Następnego dnia było podobnie – rano męczący trening, potem długie popołudniowe godziny w samotności. Nocą rogalik księżycy małał i małał. Patrzyłem, dopóki było go widać; nawet kiedy zamykałem oczy, złocisty łuk przenikał ciemność pod powiekami. Łudziłem się, że może odsunie wizję tamtego chłopca. Nasza bogini księżycy miała dar magii i władzę nad umarłymi. Mogła przegnać sny, gdyby zechciała.

Nie przegnała. Chłopiec przychodził noc w noc, z

wytrzeszczonymi oczami i rozłupaną czaszką. Czasem odwracał się i pokazywał mi dziurę w głowie ze zwisającą luźno miazgą zamiast mózgu. Czasem wyciągał do mnie rękę. Budziłem się przerażony, bez tchu, i do świtu wpatrywałem się w ciemność.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).